

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (14)

Pani Maria

Przynajmniej raz w tygodniu, zawsze o tej samej późnej wieczornej porze, dzwonił w domu telefon, a gdy podnosiłem słuchawkę, rozlegał się w niej wysokie śpiewny, naznaczony „kresowym” akcentem głos: „A to pan Mirrrk? No, co tam słyhać nowego?” Tym sakramentalnym zwrotem pani Maria rozpoczynała długi monolog na temat ostatnio przeczytanej książki, obejrzanego filmu lub przedstawienia teatralnego. Swoje dywagacje szpikowała ciętymi, często złośliwymi komentarzami, okraszając je jeszcze na dodatek co pewien czas dosadnym zwrotem w jednym z pięciu znanych przez siebie, expedité, języków. Potem szły plotki i ploteczki towarzyskie. Za czym - dyskusja na temat ostatniego numeru „Kameny”. Następnie - pogwarki na tematy polityczne...

Tak było całymi latami. I nawet wówczas, kiedy mój były redaktor naczelny, Maria Bechczyc-Rudnicka, przekroczyła dziewięćdziesiąty czwarty rok życia i pewne oznaki zaczynały świadczyć, że jej żelazny organizm powoli słabnie i wyczerpuje się, nie dotyczyło to sfery intelektu. Do ostatniej chwili życia ta niezwykła kobieta zachowała kryształową jasność umysłu i fenomenalną precyzję myślenia.

Trzeba powiedzieć, że z podobną precyzją Maria Bechczyc-Rudnicka kształtowała przez całe dziesięciolecia mit dotyczący jej własnej postaci. I choć była i tak osobowością niepowtarzalną, starała się dodatkowo spowijać pewne fragmenty własnego życiorysu w nimb tajemniczości, niedopowiedzeń i niedomówień. A może działało się tak po prostu dlatego, że pani Maria nie chciała się przyznać, że jest z pochodzenia Rosjanką?

Urodziła się w Warszawie w 1888 roku jako córka carskiego urzędnika Piotra Mataftina skierowanego na odpowiedzialne stanowisko w Priwisleńskim Kraju. Podczas chrztu w warszawskiej cerkwi otrzymała imiona: Maria Ksenia. Oboje rodzice pochodzili z dobrej, zamożnej rosyjskiej szlachty, w żyłach Piotra Mataftina płynęła kropla krwi tatarskiej.

Po śmierci ojca Marii Kseni jej matka wyszła powtórnie za mąż, tym razem - o ile wiadomo - za wojskowego, generała Pawłowa. Nie wiem, jak się kształtowały relacje ojczyrna i pasierbicy, w każdym razie jest rzeczą zastanawiającą, że w czasie naszej blisko trzydziestoletniej znajomości pani Maria nigdy ani słówkiem nie wspomniała o drugim mężu swojej matki. Zawsze i wszędzie

występowała w jej opowieściach tylko matka, zresztą istota dość nieokreślona, nieomal abstrakcyjna, rodzaj dobrego ducha, który nawiedzał co pewien czas córkę zabierając ją bądź to na wakacje „u wód” cichego, prowincjonalnego Nałęczowa, bądź też na dalekie europejskie wojaże, do francuskich lub szwajcarskich uzdrowisk. To właśnie w pięknej, odwiedzanej przez elegancką międzynarodową publiczność francuskiej miejscowości kuracyjnej, pamiętającej jeszcze czasy rzymskie, spłynęła po raz pierwszy na małą dziewczynkę magia teatru, której w latach dojrzałych miała się poświęcić bez reszty.

W wydanej w ponad sześćdziesiąt lat później książce „Godziny osobliwe” Maria Bechczyc-Rudnicka napisała: Kiedy w dwunastym roku życia spędzałam z matką lato w Aix-les-Bains [...] pewnego wieczoru uchyliły się nagle przede mną wielkie drzwi salt teatralnej. Była to zaledwie chwila, lecz w owej chwili powstało niezniszczalne wrażenie i zapamiętałam na zawsze oświetlony prostokąt i w nim wizję pełną romantycznego powabu. Teatr urzekł więc młodą rosyjską warszawiankę już we wczesnym dzieciństwie. Chłoneła go później jako pensjonarka, uczennica w Instytucie Błagородnych Diewic w Petersburgu, skąd na przedstawienia w słynnej „aleksandrynce” wożono szlacheckie panny eleganckimi karetami, i jeszcze później, gdy studiowała na wydziale literacko-historycznym petersburskich Wyższych Kursów Żeńskich, założonych przez znanego historyka Konstantego Bestużewa-Riumina.

Powstałe w 1878 r. „kursy Bestużewskie”, miały za zadanie wypełnić lukę, jaką stanowił wydany przez władze carskie zakaz studiowania przez kobiety na rosyjskich Uniwersytetach. Nawiasem mówiąc dopiero od 1911 r. uznano fakt ukończenia Wyższych Kursów Żeńskich za równoznaczny z uniwersyteckim dyplomem. Poziom „kursów Bestużewskich był bardzo wysoki, wykładali tam naukowcy tej miary, co znakomity znawca epoki napoleońskiej prof. Eugeniusz Tarlé, znawca Wielkiej Rewolucji Francuskiej prof. Mikołaj Kariejew, prof. Tadeusz Zieliński - historyk kultury greckiej i filozof, oraz filolog Jan Baudouin de Courtenay. To właśnie im, a w szczególności profesorowi Kariejewowi, zawdzięczała Maria Ksenia Mataftin pasję do historii i zainteresowanie Rewolucją Francuską. Równie wielkie wrażenie sprawiła na niej osobowość profesora Aleksandra L. Pogodina, który był rzecznikiem przyjaźni narodów słowiańskich, mającej m.in. za zadanie przeciwstawić się naporowi pangermanizmu. Jako członkini studenckiego koła, założonego przez prof. Pogodina zorganizowała przyjazd studentek petersburskich do Warszawy, miasta jej dzieciństwa, w celu złożenia wieńca przed pomnikiem Adama Mickiewicza.

Kiedys pani Maria opowiadając o tej podróży z Petersburga do Warszawy pokazała mi stare poźółkłe zdjęcia wycięte z paryskiego czasopisma „L'Illustration”: u stóp pomnika autora „Pana Tadeusza” stoi grupa ubranych w ciemne, długie do ziemi suknie studentek. „Ta najwyższa, w centrum, to ja” - powiedziała z rzadką u niej nutą smutku za dalekimi, minionymi czasami młodości.

Maria Bechczyc-Rudnicka była kiedyś elegancką, wysoką i szczupłą panną, o zwracającej

uwagę swą urodą twarzy. Urodzie towarzyszyła inteligencja, ciekawość świata i... samodzielność. Nic dziwnego, że tuż po studiach wyjechała na dwa lata do Paryża studiować historię Wielkiej Rewolucji. Owocem tego wyjazdu była wydana w 1912 r. w Petersburgu praca: „Iz istorii obszczestwiennogo mnienija wo Francji w epochu rewolucji (oktiabr 1792 - janwar 1793)” oraz druga, wydana w 1913 r. również w Petersburgu, „Napoleon i prefekty”. Ta druga praca naukowa ukazała się w książce zbiorowej wydanej dla uczczenia osoby prof. Kariejewa a zatytułowanej: „Nikołaju Kariejewu - uczeniki i towariszczzi po naucznoj rabotie”.

Najprawdopodobniej w czasie jednego z wojaży po zachodniej Europie panna Mataftin poznała Polaka, ziemianina posiadającego klucz majątków na Podolu, Antoniego Bechczyc-Rudnickiego, zwolennika teorii Romana Dmowskiego. Antoni Bechczyc-Rudnicki uprawiał publicystykę polityczną i później znajomość zawodu dziennikarskiego miała mu zapewnić kawałek chleba za czasów II Rzeczypospolitej, gdy rodowe ziemie pozostały poza granicami odrodzonej Polski.

Po ślubie małżonkowie zamieszkali w dobrach pani Marii, w pskowskiej gubernii, które kupiła ona (kilka tysięcy dziesięcin) po otrzymaniu dużego spadku po swojej babce. Ten majątek ziemski miał być doskonałą lokatą dla wielu tysięcy rubli w złocie, jako że właśnie wybuchła pierwsza wojna światowa i pieniądze traciły wartość... Należy tutaj podkreślić, że do sprawy utraty swej fortuny Maria Bechczyc--Rudnicka potrafiła do końca życia zachować filozoficzny dystans. Uważała to za konieczność dziejową, tym bardziej zrozumiała i oczywistą dla niej, historyka. Chociaż, zwierzyła mi się kiedyś, że w pewnym momencie brak zaplecza finansowego stał się dla niej prawdziwym szokiem...

Otóż po przyjeździe w 1919 r. z objętej wojną domową Rosji do Warszawy Maria i Antoni Bechczyc-Rudniccy „stanęli” - jak to mieli w zwyczaju - w Hotelu Saskim, wraz z resztką fortuny oraz dwoma bardzo rasowymi chartami. Niestety, po kilku miesiącach owe resztki fortuny wyczerpały się do cna. I właśnie wtedy - jak opowiadała pani Maria - doznała owego największego w swym życiu szoku: nie było pieniędzy! Mówiła, że nie potrafiła wówczas tego pojąć, nie dochodziło to ani do jej świadomości ani do jej wyobraźni. Jak to? Dotąd, od kiedy pamiętała, gdy trzeba było wyjechać za granicę, albo gdy w Petersburgu, Paryżu lub Rzymie skończyła się gotówka, wystarczyło pójść na pocztę i zadepeszować do administratora majątku lub do banku i... pieniądze się pojawiały. A tu -kompletna pustka, całkowita, namacalna niemożność!

Aby z czegoś żyć, zaczęli się oboje jako nauczyciele języków w gimnazjum w Lipnie, miasteczku położonym między Wrocławiem a Toruniem. Tam pani Maria kładła do głów córkom i synom miejscowych, rzeźników, sklepikarzy i urzędników magistrackich swoją wytworną, fracuszczyzną wyszlifowaną w Institutie Biagorodnych Diewic i w bibliotekach, kawiarniach oraz teatrach paryskich. W 1923 r. udało im się przenieść do Warszawy, gdzie Antoni Bechczyc-Rudnicki otrzymał posadę w Polskiej Agencji Telegraficznej. Po pewnym czasie wyjechał jako korespondent do Londynu, co przyszło mu tym łatwiej, że spokrewniony był z jakimś angielskim

lordem.

Tutaj następuje jedna z kolejnych, nie wyjaśnionych białych plam w życiorysie pani Marii. Nigdy nie wspomniała ani słowem o wyjeździe z mężem na - jak to się dzisiaj mówi - „placówkę zagraniczną”. Mieszkała w stolicy przy ulicy Brackiej, na poddaszu, które kiedyś było pracownią jednego z malarzy. Opracowywała dla „Przeglądu Mierniczego” kronikę zagraniczną, wyjeżdżała kilkakrotnie na międzynarodowe kongresy mierniczych i astronomów-geodetów w charakterze tłumaczki. A równocześnie coraz częściej w prasie warszawskiej zaczęły się ukazywać jej opowiadania, artykuły i eseje. W 1935 r. zadebiutowała powieścią „Sol lucet Germaniae. Przygoda profesora Schmidta”. W rok później ukazała się następna książka Marii Bechczyc - Rudnickiej - „Niezwykłe przygody zwykłego człowieka”. Owocem kilkumiesięcznego pobytu w 1935 r. i 1936 r. na terenie ekspedycji wykopaliskowej w Biskupinie stała się książka napisana wspólnie z Antonim Bechczyc-Rudnickim - „Dziw. Opowiadanie na tle życia Prasłowian”. Wreszcie, w 1937 r., wyszło „Malerza raweńskiego owieczek dwanadzieście”, zaś w 1938 r. - znowu wspólnie z mężem napisany - zbiór nowel „W retorcie życia”.

Nie wiadomo gdzie, kiedy i z jakiego powodu Antoni Bechczyc-Rudnicki rozstał się ze światem doczesnym. Po prostu - umarł i nic więcej na ten temat pani Maria nie mówiła. Wiadomo jedynie, że przed wojną wyszła powtórnie za mąż za Edwarda Wrockiego, znanego historiografa muzycznego oraz zbieracza muzykaliów, dyrektora Biblioteki Operowej w Warszawie, który po pierwszej wojnie światowej przywiózł z Rosji do Polski niezwykle bogate zbiory nutowych rękopisów wybitnych polskich i zagranicznych kompozytorów. Te bezcenne papiery zostały w dużej mierze zniszczone podczas Powstania Warszawskiego.

Powstanie zastało Wrockich na ich działce na Saskiej Kępie, gdzie wybrali się rankiem 1 sierpnia 1944 r. po owoce. Nawet okna w mansardzie przy ulicy Brackiej nie zamknęły - dla przewiewu - i, choć mieszkanie ocalało w całości, pani Maria przez następnych trzydzieści lat nie mogła odżałować, że padające deszcze i śniegi zniszczyły część mebli, w tym - biurczko w stylu Ludwika XV...

1 października 1944 r. Maria Bechczyc-Rudnicka i Edward Wrocki dotarli do Lublina i zgłosili się do pracy w PKWN. Ten okres życia pani Marii jest dość dobrze znany, warto więc jedynie przypomnieć, że Edward Wrocki został mianowany kierownikiem Wojewódzkiego Wydziału Kultury a ona jego zastępcą. Że wraz z prof. Kleinerem zorganizowała Lubelski Oddział ZLP, że pomagała Janowi Parandowskiemu w restytuowaniu PEN -Clubu, w latach 1945/46 prowadziła dział literacki i teatralny w lubelskim dwutygodniku „Zdrój”. W 1947 r. objęła stanowisko kierownika literackiego Teatru im. Osterwy i pozostawała na nim aż do roku 1964, działając równocześnie w Lubelskim Oddziale ZLP, któremu przez trzy lata (1949 - 1952) prezesowała. Właśnie w ostatnim roku swojej kadencji, w porozumieniu z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, podjęła sprawę reaktywowania „Kameny”. Od 1952 r. była jej współredaktorem, a od 1960 r. do

końca 1964 r. - redaktorem naczelnym.

Należę do tych osób, które uczyły się pisarskiego rzemiosła pod okiem Marii Bechcyc-Rudnickiej. Dobrze pamiętam owe godziny poświęcone przez kierowniczkę redakcji na wspólną analizę naszych tekstów, na wskazywanie błędów kompozycyjnych, na logiczne i drobiazgowo umotywowanie, dlaczego reportaż lub artykuł wymaga przeróbki, albo dlaczego nie nadaje się do druku. Podobnie - ze zbieraniem materiału; może pani Maria przekazała nam część swoich dawnych zamięłowań historycznych, bo ci, którzy przeszli przez jej szkołę, nie potrafili pisać bez zgromadzenia najpierw szerokiej dokumentacji stanowiącej zaplecze dla podejmowanego problemu.

Co nam zawsze szczególnie imponowało w Marii Bechcyc-Rudnickiej, to - poza intelektem, kulturą osobistą i szeroką wiedzą - jej niespożyta energia i siła woli. Skądinąd pryncypialność i egotyzm, a takie chłodne - przy pozorach przyjacielskości - dystansowanie się wobec ludzi, nawet bardzo z nią zżytych oraz swoisty sposób zaborczości, jaki stosowała wobec otoczenia, nie przydawały jej zbyt wielu przyjaciół. Ale to już zupełnie inne zagadnienie.

Tak czy inaczej, swoją osobowością, stylem bycia i swą żywotnością wzbudzała powszechny podziw. Mnie zaimponowała - a młodemu człowiekowi zaimponować niełatwo - po raz pierwszy w dniu pogrzebu Edwarda Wrockiego. Pracowałem już wtedy w redakcji „Kameny”, moje biurko stało naprzeciwko biurka pani Marii. Kiedy prosto po powrocie z cmentarza zasiadła za tym biurkiem, zobaczyłem kompletnie złamaną, trzęsącą się, postarzałą o dwadzieścia lat kobietę. Ale ona nagle, ogromnym wysiłkiem woli, zaczęła „brać się w garść”. Ręce jej drżały, ale ścisnęła w palcach długopis i zaczęła adiuutować nadesłane do redakcji teksty. Łzy płynęły jej po policzkach, łkała je, lecz wzięła się za rozrysowywanie makiety przyszłego numeru... I wtedy przyszło mi do głowy, że ona tak szybko nie umrze, jak mi się jeszcze zdawało przed pół godziną. Istotnie. Żyła jeszcze bez mała lat dwadzieścia i był to okres najbardziej twórczy w jej życiu. Napisała wówczas najlepsze swoje recenzje teatralne, wydała „Godziny osobliwe”, „Uchylenie masek” i „Nagle zamyślenia”. Jeszcze mając lat dziewięćdziesiąt opracowała książkę pamiątkową z okazji 35 -lecia lubelskiego teatru dramatycznego. Ofiarowując mi egzemplarz autorski napisała w dedykacji: „Szanownemu i Drogiemu Panu Mirkowi Dereckiemu na pamiątkę długoletnich sympatycznych kontaktów kulturalnych. 18 XII 79”.

Były to nie tylko kontakty kulturalne, ale też relacje zahaczające - po tych wielu latach znajomości - o sferę przyjaźni, czy nawet nieledwie - rodzinności. Czułem się nie tylko podwładnym pani Marii, a później - jej kolegą po fachu, ale także... jakby czymś w rodzaju dalekiego kuzyna, jakiegoś tam „ciotecznego wnuka”. Dlatego nić sympatii, jaka nas łączyła, przekraczała nieraz granice czysto konwencjonalnych układów towarzyskich czy też zdawkowych uprzejmości.

Byliśmy bliscy, a zarazem dalecy sobie, zaprzyjaźnieni, a obcy. Chyba najbardziej w tym

wszystkim łączyło nas podobne poczucie humoru i pewne zdystansowanie do otaczającego świata.

Może dlatego też pani Maria nie obrażała się na mnie z powodu różnych kawałów, jakie robiliśmy jej wraz z innymi, również młodymi, kolegami redakcyjnymi.

Jako dawna przedstawicielka „carskich klas posiadających” pani Maria zwykła się była odżegnywać na każdym kroku od swojej zamierzchłej przeszłości i wszystkich „przegniłych reliktyw”, i chętnie podkreślała swe głębokie zrozumienie dla „obrotu koła historii”, „konieczności dziejowej”, „głębokiego gniewu ludu” etc. Czasem jednak dawała się wciągnąć w pułapkę. Rozpoczynaliśmy z nią rozmowę o „dawnych dobrych czasach Imperium”. Pani Maria - krytykowała. Zmienialiśmy ton i zaczynaliśmy potępiać w czambuł wszystkie możliwe instytucje carskiej Rosji. Pani Maria - potakiwała gorąco. Wtedy wytaczaliśmy główną kolubrynę: cesarską konną lejbgwardię. „Nic, tylko pustogłowie, kartografstwo, szampan. Cyganki, marnotrawienie ojcowskich fortun...!” - grzmieliśmy. „No, tak, no, całkowita słuszność! No bezapelacyjna prawda!” - przytakiwała pani Maria. Ale w pewnym momencie oczy jej nabrały ciepłego wyrazu i, zapatrzona w odległą przeszłość, mówiła miękkim, śpiewnym głosem: „Ale... CÓŻ TO BYLI ZA PIĘKNI MĘŻCZYŹNI. CI KONNI GWARDZIŚCI! CO ZA MĘŻCZYŹŹŹNI...!”

W dyskusjach miała Maria Bechczyc-Rudnicka język giętki i cięty, w charakteryzowaniu ludzi nierzadko sięgała do bogatej skarbnicy dosadności, jaka zawarta jest w twórczości Mikołaja Gogola. Jednego ze znajomych literatów podsumowała kiedyś krótko i lapidarnie: „Roża [morda], szto w tri dnia nie oplujosz!” W towarzyskich rozmowach redakcyjnych wspinała się na wyżyny literatury francuskiej, ale już za chwilę tłumaczyła nam z zapalem różnice między takimi pojęciami jak „skatina”, „mierzawiec” lub „swołocz”...

Czasami jej sformułowania wprawiały człowieka w osłupienie. Zatelefonowała do mnie kiedyś rano, bardzo zdenerwowana:

„Panie Mirrrkul Mnie głowę ukradli!”

„Głowę pani ukradli! Z karku?” - zacząłem dowcipkować.

„No, niech pan nie udaje głupiego! Głowę z cmentarza mi ukradli!!!” Chodziło o „głowę Chrystusa”, piękną rzeźbę przypisywaną Canovie, którą pani Maria kazała umieścić na grobowcu męża. Uczucie pychy - któż mu nie ulega? - kazało jej dać pod rzeźbą odpowiednią informację na temat słynnego włoskiego twórcy. No i znalazł się złodziej - znawca sztuki, który wyłupał marmurowe dzieło i prawdopodobnie wziął za nie dobre pieniądze od jakiegoś zbieracza. „Hic transit gloria...!”

W ostatnich miesiącach życia Maria Bechczyc-Rudnicka została wybrana na przewodniczącą OKON-u, w którego skład wchodziły osoby z lubelskich środowisk kulturalnych i twórczych.

Zmarła w czerwcu 1982 r. zapisując swój księgozbiór Bibliotece im. H. Łopacińskiego

w Lublinie, a pieniądze po niej pozostałe przeznaczając na stypendium dla młodego literata specjalizującego się w krytyce teatralnej. Żegnała ją na cmentarzu gromada życzliwych osób, grała orkiestra, młody ksiądz, poeta Wacek Oszajca, pokropił trumnę, co jednemu z moich kolegów po piórze było bardzo nie w smak. Pytam się - dlaczego? - skoro zmarła wyraziła także życzenie... „O tempora, o mores...!” - jak by powiedzieli starożytni Rzymianie. Zapragnęła też Maria Behczyz-Rudnicka, aby na miejscu, gdzie dawniej na grobowym pomniku wmurowana była głowa Chrystusa, umieścić na marmurowej tablicy cytaty z Anny Achmatowej: „Nie chciałam iść do ziemi, z kochanej ziemi mej!”

Ja zaś często wspominam te chwile, gdy w końcu października 1981 r. szukałem nad Jeziorem Genewskim, wśród pochyłych uliczek Lozanny, sklepu z perfumami, o których przywiezienie prosiła pani Maria. Miały to być perfumy, których markę i nazwę pamiętała z czasów, gdy jako dziecko jeździła tutaj, do podnóża Alp ze swoją matką, postacią prawie już abstrakcyjną - o której właściwie nie wiem nic ponad to, że była matką małej, może bardzo nieszczęśliwej dziewczynki, co wcześniej straciła ojca.